

O bursztynowym drzewie, księżniczce i czarnym gryfie.

(baśń kaszubska)

Nad samym brzegiem morza leżała kraina sławna na całym świecie. Ze wszystkich stron przyjeżdżali na dwór księcia kupcy, przywożąc najcenniejsze tkaniny, miecze cudownie kute z wielu stalowych drutów, zbroje pozłociste i korzenie, a także najpiękniejsze zwierciadła, mające moc odbijania słonecznych promieni i powtarzania ludzkich twarzy. Za te wszystkie bogactwa, zapelniające komory księcia i wielkich panów, kupcy wybierali jeden jedyny skarb tej ziemi – światłem prześwietlony bursztyn.

Nie daleko pałacowi księcia, nad samym brzegiem morza, rosło bursztynowe drzewo. Drzewo było tak grube, że dwudziestu ludzi trzymając się za ręce ledwie mogło je objąć, a tak wysokie, że czub jego ginął w śnieżnobiałych chmurach napływających z morza.

Trzy razy do roku pojawiały się na drzewie owoce – bursztyny wielkie jak głowy – ale gdy gwałtowny wiatr bił z morza w strąd, na ziemię opadały owoce jeszcze nie dojrzałe, maleńkie, z których zręczne ręce kobiet robiły zausznice i piękne bursztynowe wisiorzy. Czasem, gdy morze długo biło w strąd, wybierając z niego piasek i kamienie, odsłaniały się grube korzenie bursztynowego drzewa, sięgające złocistymi żyłami daleko w głąb morza.

Księżę, panujący nad bursztynowym krajem, miał piękną córkę, która często chodziła pod bursztynowe drzewo, wypatrując najpiękniejszych bursztynów. Zbierała je na posag dla siebie. Pewnego dnia w całym księstwie zapanował wielki smutek – księżniczka zniknęła. Wyszła jak zwykle z pierwszymi promieniami słońca, rozpalającymi gładź morza, na spacer, lecz ze spaceru nie powróciła. Jedna ze służebnic widziała ją, jak szła w stronę bursztynowego drzewa, ale pomimo poszukiwań nikt nie mógł księżniczki odnaleźć.

Księżę rozesłał posłańców we wszystkie strony swojego księstwa. Szukano księżniczki w najgłębszych borach, pytano ludzi – ale nikt jej nie widział. Mijał dzień za dniem, miesiąc za miesiącem, a księżniczka nie wracała. Księżę chodził smutny. Nie potrafili go rozweselić grający na cytrach bajaranze. Nie znajdował spokoju w dyskusjach z uczonymi mężami-filozofami, z którym rozprawiał o porządku rzeczy i świata.

Jak gdyby nie dość było tego jednego nieszczęścia, wkrótce bursztynowe drzewo przestało rodzić owoce. Widać było, to prawda, wielkie głowy bursztynów wyrastające pośród bursztynowych liści, ale te nocą znikwały. Straże rozstawione dookoła drzewa nikogo nie zauważyły. Jedynie pewnej nocy, gdy księżyc jaśniej niż zwykle oświetlał ziemię, wydawało się strażnikom, że olbrzymi cień spłynął z chmur na bursztynowe drzewo i połykał wielkie bursztyny.

Księżę zwołał wszystkich uczonym mężów. Radzono dwa dni i dwie noce, ale nie wyjaśniono tajemnicy bursztynowego drzewa ani tajemnicy zaginionej księżniczki.

W dwa dni później, w kancelarii księcia, do późnych godzin nocnych płonęły smolne żywice. Posłańcy księcia roznieśli listy po wszystkich ziemiach i odczytali je na rynkach miast. Książę odda swoje państwo temu, kto wyjaśni tajemnicę bursztynowego drzewa i odnajdzie księżniczkę.

Ze wszystkich stron świata zaczęli przyjeżdżać rycerze. Przyjechał ten, który w dalekiej puszczy zabił smoka o siedmiu głowach i ognistym języku; także ten, który obłąkawił stado dzikich świń i ten, który tabun dzikich koni o złotych podkowach zaprowadził do królewskich stajen, a pomiędzy nimi wielu innych, słynących z męstwa i cnoty. Gdy wszyscy oni pytali księcia o to, gdzie jest wróg, gdzie jest ten, z którym trzeba walczyć – książę nie potrafił wskazać im przeciwnika. Rycerze czekali, czekali, mając nadzieję, że wróg sam się im pokaże, ale to się nie stało.

- Nie możemy przecież walczyć z czymś, czego nie widać – mówił jeden do drugiego, i wkrótce rycerze zaczęli opuszczać pałac księcia.

Książę został sam ze swymi sługami, a bursztyny zniknęły tak, jak zniknęły.

Pewnego dnia do bram pałacu księcia zapukał marynarz, który dowiedział się w porcie, iż książę przeznaczył wielką nagrodę dla tego, kto odnajdzie księżniczkę i uwolni królestwo od złodzieja bursztynów.

Książę przyjął marynarza godnie i opowiedział o tym, co zdarzyło się w księstwie. Marynarz wysłuchał księcia, a później poprosił, aby pozwolono mu stanąć przez trzy noce na warcie koło bursztynowego drzewa. I tak się stało.

Gdy minęła trzecia noc, marynarz przyszedł do księcia prosząc, aby zabito największego wołu, a z jego skóry uszyto dla niego pięć mocnych kaftanów. Przez dwa dni i dwie noce szyto kaftany, aż wreszcie trzeciego dnia marynarz nałożywszy jeden kaftan na drugi wyruszył na niebezpieczną wyprawę.

Wziął ze sobą linę plecioną z najlepszego jedwabnego włókna i wyrzuciwszy ją w górę, zaczepił na konarze bursztynowego drzewa. Dookoła zebrała się wielka gromada ludzi. Nie tylko książę z dworzanami, ale wszyscy słudzy i kupcy, którzy w tym czasie bawili na dworze księcia, byli świadkami wyprawy. Jeszcze przez chwilę było widać marynarza wspinającego się po linie, ale wkrótce zniknął pomiędzy bursztynowymi liśćmi i tyle go wszyscy widzieli.

Marynarz tymczasem wspinał się coraz wyżej i wyżej, z gałęzi na gałąź, z konaru na konar, a te były coraz grubsze, coraz większe. Bursztynowe liście były tak wielkie jak łąka, jak oczka jezior – tylko z odległości, z ziemi wydawały się małe. Na bursztynowych liściach pasły się najprawdziwsze trzody, których pilnowali pasterze. Im wyżej się marynarz wspinał, tym więcej ich było. Pasterze pilnujący trzód mówili w niezrozumiałym dla niego języku, tak że nie mógł się dowiedzieć, do kogo te trzody należały.

Mijał dzień za dniem, zdarł się już jeden kaftan, marynarz wspinał się coraz wyżej, a końca tej wspinaczki nie widać. Zdarł się już drugi kaftan, trzeci i czwarty, wreszcie gdy zdarł się już i piąty – stanął marynarz na samym szczycie bursztynowego drzewa.

W pierwszej chwili poraził go blask słońca bijący na czystym ciemnogramatowym niebie; chmury zostały daleko pod nim – z wysokości przypominały stado białych baranków lub grzywacze fal bijących w czasie sztormu o ostry brzeg morza. Promienie słoneczne rozpałały piękny bursztynowy pałac, widoczny na samym szczycie drzewa.

Marynarz, stojąc na bursztynowym dziedzińcu, śmiały zapukał do pałacowych bram. Ledwo zdążył to uczynić, a drzwi uchyliły się, jak gdyby zapraszając go, lecz za drzwiami nikogo nie było. Komnaty były puste, olbrzymie. Rozświetlone blaskiem słońca prowadziły w jakąś słoneczną dal. Marynarz szedł i szedł, aż wreszcie w jednej komnacie zobaczył gryfa siedzącego na bursztynowym tronie. Koło niego stała piękna dziewczyna w książęcej koronie na głowie i czyściła czarne gryfowe skrzydła.

Marynarz struchlał, gdy usłyszał głos gryfa, od którego zatrzęsły się ściany pałacu. Głos, przypominający ryk morskiej nawałnicy. Może przypomnienie żywiołu morskiego, z którym niejedną przecież walkę stoczył, ośmieliło marynarza, gdyż odezwał się, mówiąc:

- Wielki panie, przyszedłem tutaj, szukając służby. Nie mogłem jej znaleźć na ziemi, mam nadzieję, że znajdę ją u ciebie.

Gryf przywołał marynarza do siebie, wstał z tronu i zaprowadził go do ostatniej, z najciemniejszego bursztynu zrobionej komnaty. W komnacie tej przytwierdzony złotym łańcuchem do ściany stał biały koń.

- Jeżeli będziesz – mówił gryf – dbał o tego konia, karmiąc go sianem i owsem, nie minie ciebie wielka nagroda. Jeżeli złamiesz ten rozkaz, spotka ciebie straszna kara.

Marynarz zgodził się na postawione przez gryfa warunki. Karmił białego konia owsem i sianem. Tak minęło kilka dni. Pewnego dnia, gdy marynarz przyniósł jak zwykle siano, koń odezwał się do niego ludzkim głosem:

- Byłem księciem tego bursztynowego królestwa. Te wszystkie trzody, które – wspinając się po drzewie – widziałeś, należały do mnie. Moje były również bursztyny, lecz miałem ich tak wiele, że mogłem nimi darzyć również księcia na ziemi. Pewnego dnia przybył jednak z dalekiej północy gryf, wypędzony przez swych braci z bursztynowej wyspy. Zakławszy mnie w konia, objął panowanie nad tym bursztynowym królestwem. Bursztyny zanoszą na bursztynową wyspę, gdyż ma nadzieję, że zmaże nimi swoje przewiny wobec braci. Rabuje nie tylko bursztyny, ale porwał także córkę ziemskiego księcia, która od tej chwili musi mu służyć. Jeżeli chcesz uwolnić księżniczkę i pomóc mi, musisz mnie karmić gorącym żarem, a poić płomieniami. Gdy przyjdzie czas, bądź gotów i spełniaj moje rozkazy.

Marynarz wysłuchał tego, co powiedział biały koń, i zaczął karmić go gorącym żarem. Gdy minęło kilka dni dalszych, koń odezwał się mówiąc:

- Możemy się już zmierzyć z gryfem. Gdy tylko zaśnie, idź do słonecznej komnaty, zdejmij ze ściany siodło, wędzidło i miecz szczerozłoty, lecz niczego poza tym nie ruszaj. Idź po księżniczkę, a gdy ją przyprowadzisz – siadźcie na mnie i nie oglądajcie się.

Marynarz wypełnił wszystko tak, jak koń rozkazał, lecz nie mógł powstrzymać się przed tym, aby nie zabrać również ze słonecznej komnaty pięknego bursztynu z zamkniętą w środku złotą żyłą słońca.

Koń uderzeniem kopyt rozbił bursztynową ścianę, wzbili się w powietrze i nie minęło wiele chwil, gdy marynarz zobaczył zbliżającą się gwałtownie ziemię. Już widać drzewa na niej, już widać było trzody i pasterzy – gdy okrył ich najpierw czarny olbrzymi cień, a w chwilę później usłyszeli głośny szum skrzydeł. Gryf obudził się i ruszył za nimi w pogoń.

- Nie spełniłeś mojego polecenia – rzekł biały koń. – Miałeś zabrać tylko siodło, wędzidło i miecz. Nie uda się ucieczka. Nie broń się, nie wyciągaj miecza. Nie nadszedł widocznie jeszcze czas wyzwolenia.

W moment później dogonił ich gryf. Pochwycił w swoje straszne szpony i poniósł z powrotem na szczyt bursztynowego drzewa.

Minęło kilka dni. Na morzu zerwała się burza. Z bursztynowego drzewa widać było olbrzymie, wzburzone morze. Białe, spienione fale biły z taką siłą w brzeg, że bursztynowe drzewo drżało. Z widnokresu słonego morza dryfował niesiony uderzeniem fal i wiatru biały żaglowiec. Marynarz, stojący na szczycie bursztynowego drzewa, widział, jak statek uderzył o podwodną rewę i w mgnieniu oka rozpadł się. Aż na szczyt drzewa dobiegł straszny zgrzyt rozdieranego poszycia żaglowca. W tym samym momencie korona bursztynowego drzewa zachwiała się, w powietrze wzbił się potężny gryf, lecąc prosto w kierunku rozbitego żaglowca. Nie minęło kilka chwil, gdy gryf powrócił do bursztynowego pałacu, trzymając w szponach beczkę białego słodkiego wina.

Marynarz przywołany przez gryfa, wybił korek w beczce, napełnił olbrzymi bursztynowy puchar malagą i podał gryfowi. Ten widocznie zasmakował w winie, gdyż nie minęła chwila, a beczka była pusta. W moment później gryf zasnął.

Marynarz poszedł szybko do słonecznej komnaty. Zdjął ze ściany wędzidło, siodło i złoty miecz, które zaniósł do komnaty białego konia. Po drodze ujął żaru, nakarmiwszy konia i napoiwszy go płomieniami podążył szybko po księżniczkę. Po chwili biały koń ponownie rozbił uderzeniem kopyt ścianę bursztynowego pałacu i wzbił się w powietrze.

Już widać było niebieskie oczka jezior, powiększające się gwałtownie, już w borach można było odróżnić czuby wyniosłych drzew, już biały koń dotykał kopytami ziemi, gdy przysłonił ich wielki cień gryfa. Marynarz zeskoczył z białego konia, wyciągnął złoty miecz i czekał. Ledwo gryf dotknął ziemi, przemienił się w olbrzymiego stalowego dzika z wielkim rogiem na środku czoła.

Dzik parsknął, zadrgała ziemia pod uderzeniem jego racic. Marynarz ujął silniej miecz, podniósł go, aż złota błyskawica przekreśliła powietrze. Miecz uderzył w pancerz dzika, zachrzęściła gięta stalowa blacha, a z wnętrza dzika wyskoczył złocisty lis. Marynarz ciął raz jeszcze, złota błyskawica przekreśliła powietrze i poraziła lisa, z którego wypadła bursztynowa szkatułka. I tę rozbił marynarz, dusząc rój os, który wzbił się z niej w powietrze.

Księżniczka była wolna. Zły gryf, wypędzony przez swych braci z bursztynowej wyspy, już nie żył. Marynarz wsiadł na białego konia i udał się z księżniczką do pałacu ziemskiego księcia. Książę przywitał ich godnie, objął córkę, a nie minęły nawet trzy godziny, jak heroldowie obwieścili, że za trzy niedziele odbędzie się ślub księżniczki z dzielnym marynarzem.

Nim odbył się ślub, biały koń poprosił marynarza, aby ściał mu głowę. Marynarz ujął złoty miecz i po raz trzeci złota błyskawica przekreśliła powietrze, a gdy to się stało – przed marynarzem stanął książę bursztynowego drzewa, zaklęty przez gryfa w białego konia.

I nie jeden ślub odbył się w pałacu księcia na ziemi, lecz dwa: książę bursztynowego drzewa zakochał się w pięknej druhnie księżniczki i dwie pary ślubowały sobie wierność na wszystkie przyszłe dni.